

~~Nazywam się Dziśław Wiśniewski~~, Urodziłem się 17.06.1931 r. w Białymstoku. Mój ojciec był pracownikiem poczty, natomiast w latach młodzieńczych jako legionista brał udział w wojnie polsko-sowieckiej. Powiadał mi swoje przejścia - był przez trzy lata w niewoli.

Rok 1939. Pamiętam niektóre zdarzenia. Byłem wówczas uczniem szkoły powszechnej. Poszliśmy z kolegami na Szosę Południową, tam widzieliśmy jadące kolumny. Szczegółów w tej chwili nie pamiętam... Były samochody, jakieś tabory, ludzie ubrani w szare mundury, czapki zakończone szpicem. Część żołnierzy była chyba w skórzanych ubraniach, pewnie oficerowie. Wkroczyli Sowieci. Niewiele pamiętam z tamtych czasów, ze szkoły np. prawie nic. Zdałem do trzeciej klasy, to był wrzesień, wojna, sowieci, więc do szkoły jeszcze nie chodziliśmy, poszliśmy dopiero przed zimą. Cofnięto nas o klasę niżej. Pojawili się nowi nauczyciele, ale też nie bardzo pamiętam. Ojciec nie było przez kilka miesięcy, walczył w kampanii wrześniowej, po powrocie przez jakiś czas pracował na poczcie. W domu był jeszcze mój młodszy o trzy lata brat.

To było 21 czerwca 1941 r., nad ranem o godz. 3 może 4 pukanie do drzwi. Otworzyła matka, przyszło NKWD. Jeden był bardzo młody, też z tym dużym karabinem z bagnetem. I on matce powiedział, co trzeba ze sobą zabrać, głównie zwrócił uwagę, że trzeba dużo słoniny. W domu tyle nie mieliśmy, bo dom prowadzono normalnie bez szczególnych zapasów, zwłaszcza mało mieliśmy słoniny. Potem okazało się, jak bardzo ta słonina nam się przydała, bo tam była jednym z podstawowych produktów. potrzebnych do życia. Ojciec został aresztowany, poszedł do więzienia w Białymstoku, a naszą trójkę zawieziono ciężarówką na Dworzec Fabryczny, na punkt/zborny.

Trafiliśmy do wagonów towarowych, pośpiesznie chyba przygotowanych do przewożenia ludzi, byłych wagonów z okratowanymi oknami. Wagonów było ok. 60, do każdego napchano ok. 40 osób. Wszystko szło na siłki, nikt z NKWD nie sprawdzał nam dokumentów, list żadnych sobie nie przypominam. Zakładowali, wyznaczyli komendanta wagonu, który był odpowiedzialny za wszystkie osoby w wagonie. Podłączyli dwie lokomotywy i zaczęli nas

wieść.

Koło Mińska usłyszeliśmy jakieś wybuchy, dorośli zorientowali się - wojna. Jechały transporty wojskowe w kierunku zachodnim, ktoś powiedział, że wojna wybuchła, i taki sposobem dowiedzieliśmy się o tym. Podłączono jeszcze jedną lokomotywę i te trzy lokomotywy powoziły nas ku nowej ziemi...

I tak jechaliśmy. Nikt absolutnie nie poinformował nas, dokąd i dlaczego jedziemy. Wielu ~~pytało~~ pytało, ale odpowiedzi żadnej, zeraztą kontaktu z enkawudzistami nie było żadnego. Jaka atmosfera? Nie przypominam sobie zachowania się enkawudzistów. Pamiętam, że wśród nas był wielki lament, część osób bardzo przygnębionych, małe dzieci (w moim wagonie kilkoro), zrozpaczone matki...

Podróż trwała miesiąc - Mińsk, Kijów, Omsk, Tomsk. Mieliśmy jakieś krótkie postoje, ale do jedzenia nic nie otrzymaliśmy, tylko dwa razy podali nam picie - wodę przegotowaną. W sumie i tak mieliśmy szczęście, że wywieźli nas w czerwcu, kiedy było ciepło, bo w pierwszym transporcie, w lutym, była prawdziwa tragedia. Jednakże wiadomo - podróż daleka, męcząca, także po wyładowaniu nas w wagonów, byliśmy odrętwiali.

Zawieziono nas do Bijska w Altajskim Kraju. Tu transport rozczłonkowany. Stamtąd pojechaliśmy do kołchozu; nie pamiętam jego nazwy, wiem, że blisko była Tajga. Pamiętam nieco podróż z Bijska do tego kołchozu. Wieziono nas rosyjskimi furami, tam to się nazywała tielga, taki wóz, dwa, może trzy konie, kilkanaście osób na wozie. Jechaliśmy nawet nocami przez Góry Altajskie. Zawieziono nas początkowo na step. Stał tam budynek jak pasterzówka, jak szales w Bieszczadach, tylko że większy, mieszkali w nim pasterze przez całe tygodnie. Do tego budynku poszły mieszkać tylko kobiety z małymi dziećmi. Natomiast reszta rozlokowała się w okolicy, jak kto mógł. Żadnych chat... Kilku dniach rozczłonkowano nas do kołchozów i zamieszkaliśmy w chatach. Typowe rosyjskie chaty wybudowane z brewion, ulica jedna, jakaś poprzeczna, chaty syberyjskie. Okiennice - pamiętam - nawet z elementami dekoracyjnymi, jakieś serduszka, coś tam powycinane. Dachy kryte jakimś gontem, piece rosyjskie, jedna

izba najczęściej jedna. Wiadro z wodą, garnki bez żadnych uchwytów, kij zakończony rozgałęzieniem do stawiania garnków na ogniu, łyki drewniane...

W kolchozie była kąpielnia - bania - i tam chodzili wszyscy raz na tydzień. Obok znajdowała się odwieszalnia. Mydła nie mieliśmy, ciepła woda była, kiedy się nagrzało. Żadnych kanalizacyjnych urządzeń czy wodociągu nie widziałem. Płynęła rzeka - z niej czerpano wodę. Oczywiście "sanitariat" na zewnątrz.

W ogóle trudno mówić o jakimś stanie sanitarnym. Nie pamiętam żadnych dostaw leków czy szczepionek. A ludzie chorowali. Np. moja matka zachorowała, ale nie wiem, co to była za choroba, nieprzytomna była przez dwa tygodnie i ja jej tylko wodę podawałem. Potem odzyskała przytomność i... ruszyła do pracy. Posa tym wszy. Część ludzi miała ze sobą jakiś zapas środków higienicznych, my nawet nie mieliśmy żadnego mydła ani proszku. Używało się środki zastępcze: piasek, popiół drzewny, którym się prało przedmioty osobistego użytku.

No więc ja zostałem pastuchem. Wierowała nami osoba dorosła, niekiedy to jeszcze człowiek w zaawansowanym wieku, jeżeli mnie pamięć nie myli, pochodzenia hebrajskiego. Wpasałiśmy było, nocami chyba też, ale dokładnie nie pamiętam. Wygenialiśmy było na step, a potem następował powrót, ale czy codziennie - nie pamiętam. Matka siano grabiła, różne inne zajęcia, a młodszy mój brat siedział w chacie.

We czole kolchozu stał przewodniczący, osoby, które kierowała pracami w polu - nazywało się to "polewoj". Nikt Polaków nie pilnował, bo to tysiące kilometrów od Polski, nikt chyba nawet nie myślał o ucieczce. Od czasu do czasu przyjeżdżało NKWD i prowadzili indywidualne rozmowy, przychodzili do domów... Pamiętam np., jak już wyjechaliśmy z kolchozu po umowie w r. 43, przyszli do domu do nas i pytali, co my mamy. Czy aparaty filmowe, książki?... I część książek skonfiskowali, książki religijne, bajki, klasykę. Wszystkie książki po polsku, które matka zebrała ze sobą. To prostu nie orientowali się, co to jest, i dlatego

profilaktycznie (jeden mówi: a kto to wie, co tam jest napisane!...) zabrali nam te książki.

W kołchozie prócz Rosjan i Polaków mieszkali Ałtajcy, ale z nimi kontakt był trudny - zupełnie odmienna kultura, są raczej zamknięci w sobie, dopóki człowieka nie poznają. Z Rosjanami... Między daisiami to były jakieś psikusy, nazywano nas niezbyt przyzwyczajenie - jak nam się wydawało. Po upływie czasu zmieniał się i nastawienie.

Z tego, co pamiętam, część ludzi była tam jeszcze z czasów powstańców z dziada pradziada. Kiedyś szedłem i zobaczyłem kobietę śpiewającą niekropolską piosenkę. Myślałem, że to Polka. Okazuje się, że ona nie zna polskiego. A skąd ona zna polską piosenkę? - pytam. Mąż był Polakiem, piosenka jeszcze od zesłańca...

I tak mieszkaliśmy. Z jedzeniem było sębo, żywność zdobywało się z własnej inicjatywy, bo za pracę dostawaliśmy tylko przydział chleba: 600 gram otrzymywali dorośli, a tacy jak ja - 400 gram. Żeby zdobyć pożywienie, początkowo sprzedawało się przywiezione ze sobą rzeczy. Tym, którzy nic nie mieli, jakoś się pomagało. Rosjanie też dzielili się - jakąś zupę ugotowali na mleku czy kawałek chleba z o r g a n i z o w a n e g o w sposób im tylko wiadomy. Jakiegoś centralnego rozdawania żywności nie było - przynajmniej w początkowym okresie, dopiero później, kiedy organizowano Armię Andersa.

Nie przypominam sobie, by Polacy podejmowali próby zorganizowania jakiegoś życia zbiorowego. Zresztą część to byli Żydzi, jednakże większość stanowili katolicy. Nie było wśród nas księdza, oczywiście nie było kościoła, w kołchozie nie było nawet cerkwi. Dopiero później w Bijsku byliśmy kilka razy w cerkwi.

Pod koniec listopada, może na początku grudnia powiedziano nam, że możemy wyjechać z kołchozu, bo organizuje się Armia Polska i osoby dorosłe i zdrowe mogą zgłosić się do wojska. Postanowiliśmy z matką, że wyjedziemy do Bijska, sporego miasteczka nad rzeką Biją, piękne okolice, góry, dobry klimat, który chyba uratował nam życie. Przyjechały po nas samochody, tzw. gaźgeneratory. Sporo ludzi pojechało, z dziećmi. To przy-

jeżeli do Bijska osoba, która kierowała tym transportem poinformowała nas, że w Bijsku każdy ma szukać mieszkania na własną rękę. Zbliżała się już noc, duży mróz, księżyc piękny... W jednym z domów paliło się światło, wyszła kobieta i zapytała, co matka o tej porze robi z dziećmi. ~~Ma~~ Matka odpowiedziała, że jesteśmy Polakami, że nie mamy mieszkania, że przyjechaliśmy do Bijska z kołchozu. Ta kobieta zaproponowała, abyśmy poszli do jej mieszkania. I zaczęliśmy razem mieszkać. Kobieta miała dwóch synów gdzieś po 18-19 lat, męża nie było w domu, na wojnie. Po kilku dniach matka znalazła mieszkanie wraz z inną Polką z trojgiem dzieci - chłopcy mniej więcej w naszym wieku. W Bijsku mieszkaliśmy do 46 r.

Matka podejmowała próby wstąpienia do Armii Andersa, ale najpierw jechały rodziny z osobami dorosłymi, bo chodziło przecież o materiał do wojska. My z bratem byliśmy w takim wieku, że nie nadawaliśmy się nawet do junaków - trzeba było mieć chyba 14 lat. Pakowaliśmy się ze dwa razy, już mieliśmy jechać do armii. Ale inne osoby pojechały, stosunki dyplomatyczne zerwano, Armia Andersa wyszła, a myśmy zostali.

Mieszkaliśmy w takim samym domu jak w kołchozie, może trochę większym. Tylko że moja matka nie potrafiła zorganizować nam życia, bo dostała rozstroju nerwowego, często płakała, modliła się, nie pracowała. Brat chodził do przedszkola, a ja ~~xxx~~ musiałem jakoś sobie radzić. Żyliśmy, z czego się dało. Najczęściej handlowałem - nie mogłem na stałe pracować, bo chodziłem do szkoły.

Uczyłem się w dużym murowanym budynku szkolnym, w polskiej szkole. ~~Ma~~ Jedno m. zwisko nauczycielki utkwilo mi w pamięci - pani Goldberg. Uczono na języka polskiego, matematyki...

A międzyczasie to się szło i z pola coś tam staraliśmy się wydobyć, np. wiosną wykopywaliśmy ziemniaki, które pozostawały jeszcze z jesieni, robiliśmy z nich placki, takie bez tłuszczu, bo tłuszczu oczywiście nie mieliśmy.

Ze strony Sowietów nie pamiętam żadnej pomocy. Tylko wtedy, gdy organizowała się armia, pamiętam pomoc doraźną - dostawaliśmy mąkę, konserwy. W Bijsku była polska placówka, czy dyplomatyczna - trudno mi teraz po-

wiedzieć. To były pewnie zrzućy amerykańskie: dostałem buty wojskowe, mocne buty, nosiłem je kilka lat, battledress, czapkę - też nosiłem długie lata.

Mieszkaliśmy w domu, którego gospodyni, Ukrainka, trafiła na Syberię w podobny sposób jak my. Pochodzili z Ukrainy i Syberia to był ich już któryś etap, bo tam mieli ziemię, jakiś mająteczek... Zostali z tej posiadłości przetransportowani do miejscowości ¹⁹³⁷jeńcze przed Syberią, a potem dalej - na Syberię. Jej małżonka aresztowano w 37 r., została sama z dzieckiem - na imię miał Śeńka, w moim wieku.

W Pijsku mieszkało sporo Polaków, jednakże nie przypominam sobie, żeby potrafili się jakoś zorganizować. Pamiętam - w szkole był zespół taneczny. Życie sprowadzało się do kontaktów sąsiedzkich. Otok nas mieszkała rodzina inteligencka; mąż sąsiadki był inżynierem leśnikiem, poszedł do wojska, została właśnie jego żona z matką. Przyjeżdżaliśmy się z rodziną o nazwisku Kopeć z Białegostoku; były trzy panie i taki podrostek jak ja, na imię miał Zbyszek. wróciliśmy tym samym transportem.

Jeżeli chodzi o warunki socjalne, to były identyczne jak w kolchozie. Żadnych lekarstw, kłopoty ze zdobyciem ~~kakankix~~ żywności. Tak samo Polaków nikt nie pilnował, bo i po co? Uciec do Polski? Tyle tysięcy kilometrów!... niemożliwe, przecież wojna trwała... Jeżeli ludzie się przemieszczali, to wówczas gdy organizowała się Armia Kościuszkowska. Dlaczego tam szli? Bo w armii dostało się kawałek chleba, a to było coś!

Książek nie mieliśmy praktycznie żadnych, były te wydawane przez Związek Patriotów Polskich, to wiadomo, jakie... Od czasu do czasu chodziliśmy do cerkwi, naszego kościoła nie było. I życie religijne nie było zorganizowane jak dzisiaj, np. różne kółka - dzisiaj ludzie potrafią się modlić zbiorowo... Tam nie. W domu modliliśmy się sami z matką i to było wszystko.

Kontakt ze światem niewielki. Radia nie mieliśmy, tylko bezprzewodową tarczka i z niej mieliśmy jedyne informacje o sytuacji na wojnie. Polskich gazet żadnych nie pamiętam. Od czasu do czasu na rynku widziałem żołnierzy w mundurach polskich, którzy przyjeżdżali po nabór rekrutów - to byli

Jeszcze żołnierze Andersa. Utkwiło mi w pamięci, że są są dobrze ubrani, elegancko wyglądają, dobrze odżywieni, mają przy sobie chlebek, konserwy - i to dla nas było majątkiem, skarbem.

W kwietniu dotarła do nas informacja, że wracamy do kraju, dowiedzia-
ła się o tym matka od jakiejś znajomej. To matkę podbudowało, zaczęła
odzyskiwać siły. W p[er]o[od]ce (to chyba już byli berlingowcy, a może ro-
~~syjska~~ rosyjska placówka - nie pamiętam) dostaliśmy kilo suchej kieł-
basy, dwa kilo mąki. Zrobiliśmy ucztę, podzieliliśmy się z Rosjanami, któ-
rzy z nami mieszkali, wówczas mieszkaliśmy w jeszcze innym domu. Mieszka-
ła tam gospodyni i pielęgniarki z wojskowego szpitala (ale i tak gdyby
ktoś zachorował, nie ta znajomość by nie dała, bo dla cywilów nie było
lekarstw). To była prawdziwa ucztę! Zacierka gotowana... I w ten sposób
zostaliśmy bez produktów na podróż.

Opuszczenie Bijska dokładnie nie pamiętam. Utkwił mi w pamięci fak-
moment, kiedy znalazłem się na dworcu kolejowym. Przesadowano nas do wa-
gonów towarowych, z tym że nie były już zastrutowane okna i nie było pos-
terunków, tylko komendant (enkawudzista) transportu z pomocnikami do na-
szej ochrony. Można było otworzyć drzwi, nie traktowano nas już jak are-
sztantów, tylko jak ludzi wolnych. Nie przypominam sobie, byśmy w czasie
transportu otrzymywali żywność. Polscy Żydzi dzielili się z nami chlebem.
O ile sobie przypominam, był to tylko transport z Bijska. Wagonów było
ok. 50, znów jechaliśmy ok. miesiąca. Przypominam sobie na trasie dwa
miasta: Kazań i Ri[os]ań - tam widziałem nawet polskich żołnierzy z AK.
Szlaki dwójkami w mundurach bez pasów. I matka mówiła - mama, to chyba Po-
lacy. A skąd tu Polacy? - odpowiadała. Nie wiedzieliśmy wówczas, że
to dowództwo AK - żadnych informacji nie mogliśmy uzyskać. Po drodze
Kijów i prosto do Białegostoku, nie wozono nas drogą okrężną jak inne
transporty. Do Białegostoku dotarliśmy w maju 46r.

Jeszcze na granicy w Prześciu pociąg stanął i zorientowałem się, że
część osób z transportu idzie do budynku koło stacji, w którym dają
chleb i inne produkty. Też tam poszedłem. Panie na tym punkcie pytały
mnie - A ty, dzieciaku, skąd jesteś?! To mój wygląd był nieszczególny:

przez ten czas nie podrosłem nawet o centymetr. Powiedziałem, że jestem z polskiego transportu z Syberii. I one mi dały bochenek chleba, było i coś tam jeszcze. O mało nie zostałem na stacji, bo pociąg zaczął ruszać, a ja biegną tym wszystki^{mi} obciążony. Mama podniosła lament - Ty zawsze gdzieś się wkręcisz!... No ale i radość była, bo inni nie dostali nic, a jedynie ja mogłem się pochwalić taką zdobyczą.

Wreszcie przyjechaliśmy do Białegostoku. Był tam punkt repatriacyjny, ale ja tam już nie poszedłem, poszła matka, a ja prosto do domu!... Po powrocie dowiedzieliśmy się, co się działo z ojcem. Przez kilka dni po aresztowaniu siedział w więzieniu, ale wnet wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i kiedy Sowieci już nie było w Białymstoku, a Niemców jeszcze nie, to sąsiadki poszły z różnymi przyrządami, otworzyły bramę więzienną i wypuściły więźniów. Ojciec wrócił do domu. Ani my nie wiedzieliśmy, co się z ojcem dzieje, ani on nie wiedział nic o nas, ponieważ listy na Syberię zaczęły przychodzić do piero pod koniec 44 r. Wówczas otrzymał^{ym} od ojca dwie listy z wojska, z II Armii. Później razem zastanawialiśmy się, dlaczego nas wywiezli - najprawdopodobniej chodziło o Legiony.

Po powrocie różnie było z przyjęciem nas przez sąsiadów. Wrócili, mieli szczęście... Jakiej specjalnej pomocy od nikogo nie otrzymaliśmy.

W szkole straciłem co najmniej trzy lata. Wraz po powrocie wróciłem do szkoły. W ogólniku Wyganta Augusta została zorganizowana taka przysposobiona klasa w czasie wakacji - nie mogłem się tam zaadaptować, bo pedagodzy uważali, że jestem człowiekiem, którego jeszcze trzeba wychowywać w warunkach domowych, bo dzieciństwo moje zostało skrócone. Po prostu moje zachowanie było nietypowe. A na dodatek podobny byłem do Hebrajczyka, włosy miałem ciemne, i na Syberii musiałem się często bronić, bo Rosjanie nie bardzo lubili Żydów. I tu, w szkole, też nie przyjęto mnie z otwartymi rękami. Akcent miałem bardzo skazony - nie wiadomo, kto ja jestem w końcu, musiałem więc nadrabiać. Rówieśnicy śmiali się ze mnie, że ja Rusek, że zdeformowaną mam sylwetkę, że jestem jakiś rachityczny (potem dopiero urosłem). Szalenie widoczne były dysproporcje mojego ciała: byłem niski, klatka piersiowa zapadnięta. Kiedy lekarz

mnie badał, to mówić - Dzieciaku, a skąd ty jesteś, co się z tą klatką u ciebie dzieje? Zawsze podejrzliwy, tylko czekałem, czy ktoś mi nie wymierzy jakiegoś ciosu. Rysa na psychice pozostała mi do dnia dzisiejszego...

Nauczyciele gimnazjum też mnie nie rozumieli, całej naszej grupy Sybiraków. Natomiast w liceum budowlanym zrozumiał nas dyrektor, zorientował się w naszych ułomnościach charakteru - to był inteligentny człowiek. Wyprowadził nas na ludzi, a niewiele brakowało, byśmy stoczyli się na szłą drogę. Tam przecież wszystko musiałem zdobywać sam, jako dziecko musiałem zachowywać się jak dorosły, a tu po powrocie życie zupełnie inaczej zorganizowane. W zasadzie funkcjonowałem tu jak zdemobilizowany żołnierz. Kiedy poszedłem do wojska, nie powiem, że nie przeżywałem tego okresu, w 52 r. wiadomo, jakie były czasy. Ale ja miałem wiecznie uśmiech na twarzy i kaprale nie mogli mi tego wybaczyć - Co, ty, bikiniarzu, cały czas na tej twojej gębie jakiś taki ironiczny uśmiech!... A ja im odpowiadałem, że jestem urodzony w piątek i w rodzinie szczęśliwej. Nie mogli tego zrozumieć. Maltretowali nas, a ja zawsze miałem taką kondycję, że nigdy nie byłem padnięty... Pamiętam taki okres, kiedy pobyt na Syberii nie był wcale jakąś chlubą, potem czasy zaczęły się zmieniać, ludzi zesłanych na szkoły oficerskie zaczęto brać - chociażby "nasz" obecny generał ~~xxxxxx~~ ~~xx~~ Jaruzelski, też podobno w Białym Białym był... ^o a go osobiście tam nie spotkałem, ale rodzina jego tam właśnie była (matka i on).

^o a do Rosjan nie mam. Zdeję sobie sprawę, że spotkała nas tragedia, jako naród, jako ludzi... Myślę, że nie warto tego wszystkiego rozpanięty ać, ale opisać trzeba... Rosjanie jako poszczególne osoby są ~~xxxxxxxix~~ do życia, ^{natomiast} jako zbiorowość są zupełnie inni, w masce...

Matka mi opowiadała... Co jej pomogło przetrwać Syberię? Przede wszystkim wiarę, zawsze była wierzącym człowiekiem i jest nadal - tak mi mówiła, że modlitwa głównie pozwoliła jej przetrwać.

Syberia wycisnęła na moim życiu piętno, to przede wszystkim wydorostałem tam przedwcześnie, wiedziałem jako dziecko, co to jest walke ~~dyt~~.

Ale wyrobiłem w sobie takie cechy, że nigdy nie kraywdziłem bliźniego to mi właśnie pozostało stamtąd. Człowiek jest takim stworzeniem, że dosłownie podzielił się ostatnim kawałkiem chleba - chleb do dzisiaj to dla mnie najwyższa wartość. Jak pójdę do sklepu, kupię chleba, mleka, masła, to tak jakbym jechał rydwanem. Można powiedzieć, że mój pobyt na Syberii spowodował w moim życiu odwrotne skutki do tego, co zamierzali sprawcy zesłania...

Nie dożyłem do żadnej kariery zawodowej, chociaż moi koledzy ze szkoły, ze studiów nie mieli żadnych obiekcji. Ja natomiast wiedziałem, że można stać się człowiekiem bezwolnym - ta świadomość we mnie istniała, bo sly-szałem, co Rosjanie mówili o stalinizmie, jak moja matka to odbierała...

Zdzisław Wiśniewski

ojciec - Jan Wiśniewski, ur. 1899 r., aresztowany przez NKWD 21.06.1941
więziony w więzieniu w Białymstoku.

matka - Jadwiga Wiśniewska z d. Rodzewicz, ur. 1904, wywieziona 21.06.41

brat - Henryk Wiśniewski, ur. 1934, wywieziony 21.06.41

Nagranie w lutym 1989 w Białymstoku.